GiLa-my

W numerze między innymi:

- Wielka Mysz zjada własny ogon – o Disneyowskich remake'ach
- Wspomnienia z Panamy
- European Youth Parliment – rozmowa z Natanem Mitrosem
- Insta(de)presja i pułapka perfekcjonizmu

Nr 3 (30), czerwiec 2019 r.

Od redakcji

Już jest – ostatni w tym roku numer gazetki szkolnej i ostatni numer gazetki pod nazwą „GiLA-my". W przyszłym roku nasza szkoła nie będzie już nazywać się GiLA, co oznacza też koniec plebiscytu Złote gile. Jego wyniki poznacie już jutro podczas szkolnej gali konkursów. Przez ostatnie 5 edycji z dużym kunsztem wykonywała je dla Was Agnieszka Fornalik – obecnie uczennica klasy 2bl.

W oczekiwaniu na wyniki rekrutacji do klas pierwszych liceum przypominamy drzwi otwarte w relacji zdjęciowej Patryka Szkuty. Uczniowie GiLA zorganizowali ostatnio jednodniową sesję Młodzieżowego Parlamentu Europejskiego w Toruniu. Na łamach nowego numeru moja rozmowa z Natanem Mitrosem – uczniem klasy 2dl i częstym bywalcem sesji EYP. Choć sprawa już trochę przycichła, Lena Bojakowska powraca do kontrowersji wokół reklamy Gillette. Bierzemy też pod lupę przemysł filmowy – Ola Szynkora zastanawia się nad hiperpoprawnością polityczną, a Zuzanna Sędziak pisze o remake'ach Disneya. Z kolei Magda Bródka rozmawia z Jolą Lewandowską o instadepresji, czyli wpływie mediów społecznościowych na nasze samopoczucie. W wolnej chwili rzućcie też okiem na „Historię kapryśnej windy" Justyny Kulis. Dla wielu z was za pewne zabrzmi znajomo...

Strajk nauczycieli i weekend majowy dały nam przedsmak wakacji, ale teraz zbliżają się już te właściwe, dwa miesiące odpoczynku. W wakacyjny nastrój wprawi was lektura tekstu Róży Kołodziej, uczennicy 1dl, która dzieli się wspomnieniami z tegorocznych Światowych Dni Młodzieży w Panamie. Mam nadzieję, że tekst Martyny Sobczak o pułapce perfekcjonizmu choć trochę przekona was, żeby nie poświęcać całego wolnego czasu na przygotowanie do olimpiad. Na lato 2019 życzę wam odwagi, przygód, porywów serca, „luzu", a przede wszystkim tego, żebyście nie byli perfekcyjni i czerpali z tego przyjemność. Do zobaczenia!

Zuzanna Kuffel

Spis treści

Chłopcy już tacy są……...…….…….....3

Sztuka tolerancji…….……...……...…....4

Drzwi otwarte okiem Patryka Szkuty….....6

Pułapka perfekcjonizmu…….……..7

INSTA(de)presja ……..……...9

Historia pewnej kapryśnej windy……..……...…….…10

Czuję się Europejczykiem ……..……..…….11

Wyrusz w drogę!.....……..……....13

Wielka Mysz zjada własny ogon……...…….…….……..16

Co nam w duszy gra……...…20

Lena Bojakowska

Chłopcy już tacy są

Istnieją tematy, które należy poruszać z wielką ostrożnością. Nieostrożna okazała się ostatnio marka Gillette, która w styczniu tego roku postanowiła wydać spot reklamowy traktujący o społecznym problemie, jakim jest toksyczne pojęcie męskości.

Dobrze znane hasło Gillette dotyczące maszynek do golenia „the best a man can get", uległo zmianie. Zamiast niego pojawiło się: „the best men can be", z towarzyszącymi mu ujęciami mającymi za zadanie wywołać dyskusję w społeczeństwie. Reklama stara się przekazać swojej głównej grupie odbiorców – mężczyznom, by byli najlepszymi wersjami samych siebie, by interweniowali, gdy widzą krzywdę innych. Okazało się, że spot został odebrany nie tak, jak życzyłby sobie tego jego producent. W zaledwie miesiąc osiągnął półtora miliona łapek w dół w serwisie YouTube, a mężczyźni, którzy deklarowali, że byli wiernymi klientami Gillette, zdecydowali się zacząć bojkotować markę i wyrzucić wszystkie produkty z jej logiem, jakie posiadali. Pojawiały się zarówno komentarze, że reklama jest „antymęska", odbiera mężczyznom jedne z istotniejszych cech ich płci, jak i te mówiące, że prezentuje ona przerysowane stereotypy. Nie wszyscy jednak odnieśli się do filmiku krytycznie – nie zabrakło osób, które odebrały go, jak się wydaje, zgodnie z tym, co marka zamierzała przekazać i nie uważają, by zasługiwała na aż tak negatywne podejście.

Twitter

Warto się zastanowić, co sprawiło, że klip wywołał tak sprzeczne reakcje. Prezentuje on jednoznacznie negatywne sceny, których sprawcami są mężczyźni. Widzimy w nim żarty poniżające kobiety, chłopców prześladujących swojego kolegę, który wypłakuje się w ramionach matki, ojców patrzących na bójkę swoich synów i reagujących na nią tylko powiedzeniem zdania „chłopcy już tacy są". Spot uwypukla także kulturę gwałtu i związaną z nią akcję #metoo, która była głośna trochę ponad rok temu. Nie jest to jednak jedyny obraz mężczyzny prezentowany w reklamie. Istotne w niej są także te jednostki, które starają się powstrzymać agresywne zachowania, nie pozostają obojętne na to, co je otacza. W spocie zostaje podkreślone, że dają one dobry przykład młodym chłopcom, którzy „są mężczyznami jutra". Pokazują, że mężczyźni nie są jedynie sprawcami nagannych zachowań.

Marka, jak się wydaje, zbyt daleko odbiegła od tego, co kreowała wcześniej, czego skutkiem jest ogromna porcja krytyki. Jednak, mimo tego, co głosi duża część komentarzy, nie godzi ona we wszystkich mężczyzn. Skupia się na zaprezentowaniu i potępieniu toksycznej męskości, czego część odbiorców wydaje się nie zauważać.

Toksyczna męskość jest pojęciem, które określa część stereotypowych męskich cech – niemalże w całości tych negatywnych. Zalicza się do nich zarówno obsesję związaną z dominacją, ciągłą rywalizację, agresywne zachowania, dewaluację kobiet, odrzucanie wszystkiego, co uważane jest za stereotypowo kobiece, jak również wypieranie się emocji, chęć polegania tylko na sobie a nawet zachowania homofobiczne. Pod nazwą „tradycyjnej męskości" zostały uznane one za szkodliwe przez Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne w opublikowanych przez nie

w 2018 r. wskazówkach dla terapeutów pracujących z chłopcami i mężczyznami. Podkreślone w nich zostaje, że wzorzec ten krzywdzi nie tylko kobiety, tych, którzy w jakikolwiek sposób nie wpasowują się w jego sztywne ramy, ale również mężczyzn, którym od dzieciństwa wpaja się obraz męskości, do którego powinni dążyć. W końcu zaczynają w niego wierzyć, przez co mierzą się z konfliktem wewnętrznym, z samymi sobą. Niechęć do otrzymania pomocy, słabość, z którą kojarzy im się zabieganie o nią, sprawia, że mężczyźni nie są skorzy do zwracania się do terapeutów czy psychiatrów o pomoc, co stanowi problem zważywszy na to, że wskaźnik samobójstw jest u nich znacznie wyższy niż u kobiet. Przewodnik zwraca uwagę także m. in. na fakt oddziaływania „władzy, przywileju i seksizmu" na rozwój chłopców. Mają przez to skłonności do prześladowania słabszych – tych, którzy „zachowują się jak dziewczyny" – do agresywnych zachowań.

Raport APA (podobnie jak spot reklamowy Gillette) spotkał się z falą krytyki właśnie za negatywne przedstawienie toksycznej męskości, która, zdaniem wielu komentujących, nie istnieje, a cechy te są nieodłączne mężczyznom. Próby zwrócenia uwagi na ich szkodliwość odbierają jako atak, czego wynikiem jest złość, widoczna już na pierwszy rzut oka.

Na reklamę Gillette odpowiedział Egard Watches, producent zegarków, pod hasłem: ,,we see the good in men", emitując spot, w którym podkreślił wysoki współczynnik samobójstw wśród mężczyzn (o czym mowa była już wcześniej), pokazał ich pomagających słabszym w potrzebie oraz jako kochających ojców. Klip ten spotkał się z nieporównywalnie lepszym odbiorem niż jego poprzednik, chociaż pojawiły się także głosy, że prezentuje on te same wartości, co Gillette, a reklama zegarków po prostu zrobiła to w sposób łagodniejszy, nieprzejawiający jakiejkolwiek krytyki. W podobny sposób na reklamę maszynek zareagowali także odbiorcy. Wydawało się, że nie zauważyli tego, co kluczowe – spot Gillette nie popiera biernego przyglądania się złemu traktowaniu innych, nawołuje, by pomagać ofiarom, by dać dobry przykład. Nie wydaje się on nakazywać zrezygnowania z siły, także utożsamianej ze stereotypową męskością. Jednak nie zmienia to faktu, że pojawiły się liczne głosy naśmiewające się z postaw promowanych jako właściwa reakcja w sytuacji, gdy mężczyzna stara się komuś pomóc. Można zauważyć problem, jaki społeczeństwo (nie tylko mężczyźni) ma z oddzieleniem pozytywnych i negatywnych cech od siebie, by starać się wyeliminować te drugie. „Chłopcy już tacy są" – i w tym właśnie wydaje się leżeć problem.

Aleksandra Szynkora

Sztuka tolerancji

Gdy jesienią ubiegłego roku w internecie pojawiła się plotka dotycząca castingu do produkowanego przez Netflix serialu „Wiedźmin", wśród internautów podniosła się wrzawa. Dlaczego? Według tego mało wiarygodnego ogłoszenia, twórcy filmu szukali do roli Ciri – głównej bohaterki – aktorki o innym kolorze skóry niż biały. Ponieważ kłóciło się to z jej wyglądem opisanym w książkach, niepotwierdzona informacja wywołała prawdziwą burzę medialną. Internet nie byłby internetem, gdyby część wypowiedzi pod adresem producentów nie okazała się czysto rasistowska i wulgarna, a przedstawiciele różnych poglądów nie zaczęli toczyć ze sobą zażartego boju. Śledząc uważnie komentarze na temat tej afery, można było jednak znaleźć nie tylko narzekanie, a również opinie, które pretendowały do bardziej rzeczowych. Część internautów uważała, że zmiana koloru skóry głównej bohaterki jest posunięciem sztucznym i naciąganym, a część, wręcz przeciwnie, chwaliła ten pomysł. Ci pierwsi często uznawali, że powodem tego całego zamieszania jest tzw. poprawność polityczna.

Cóż to więc za straszny potwór, który nakazuje reżyserom uwzględniać w obsadzie czarnoskórych aktorów? Według Encyklopedii PWN poprawność polityczna to po prostu „zasada unikania określeń, które mogłyby być uznane za przejaw dyskryminacji w stosunku do osób ze względu na ich przynależność rasową, narodową, wyznaniową, pochodzenie społeczne lub orientację seksualną". W pierwotnym założeniu polegała ona na zastępowaniu pejoratywnych i wulgarnych wyrażeń słowami o neutralnym charakterze. Jej celem było dbanie o wzajemny szacunek pomiędzy rozmówcami i zwalczanie uprzedzeń. Obecnie często wiąże się ją także z działaniami i postawami wychodzącymi poza sferę języka oraz ukazywaniem w kulturze każdej grupy społecznej. Dzięki poprawności politycznej mamy parytet, a w filmach i se-

Facebook

rialach pojawiają się postaci należące do mniejszości etnicznych i seksualnych.

Skoro poprawność polityczna jawi się jako bardzo pozytywne zjawisko, to skąd te narzekania pod jej adresem? Problem polega na tym, że koncepcja ta bywa doprowadzona do skrajności. Tu jako przykład można podać aferę związaną z „Kingdom Come Deliverance" – osadzoną w piętnastowiecznych Czechach grą RPG autorstwa studia WarHorse. Otóż ta prawdopodobnie najbardziej realistyczna w dziejach gatunku wizja wieków średnich została oskarżona o… rasizm. Autor recenzji opublikowanej na portalu Eurogamer krytykował brak czarnoskórych postaci w grze. Tylko czy oskarżenie to nie wydaje się nieco przesadzone? Przecież znalezienie ciemnoskórej osoby w średniowiecznej czeskiej wsi graniczyło z cudem.

Innym przykładem takiej radykalnie poprawnej politycznie postawy może być pewien artykuł zamieszczony na portalu poświęconym grom komputerowym. Dotyczył on afery związanej z castingiem do „Wiedźmina". Autor zakłada, że każdy, kto ma wątpliwości co do zmiany koloru skóry głównej bohaterki, od razu musi być rasistą, a co najważniejsze – nie ma i nie może mieć racji. Przeprowadziłam małą sondę wśród znajomych i tak się składa, że owszem, istnieją osoby o bardzo liberalnych poglądach, które uważają, że takie przedstawienie Ciri jest nieco wymuszone. Nie oznacza to od razu, że są uprzedzeni. Czy przyklejanie każdemu, kto myśli inaczej, plakietki rasisty nie kłóci się czasem z zasadą szanowania rozmówcy?

Właśnie takie przesadzone postawy mogą antagonizować. Gdy zadawałam moim rówieśnikom pytanie, co sądzą o poprawności politycznej, to pierwsza rzecz, o której myśleli, to właśnie te skrajne przypadki, głównie związane z popkulturą. Spotkałam się z opiniami, że często różnorodność w obsadzie filmów nie jest traktowana jako coś naturalnego, a jedynie jako pewna sztuczna norma, którą trzeba wyrobić, by nie zostać skrytykowanym. Można więc wywnioskować, że hiperpoprawność polityczna nie tylko nie przyczynia się do zwalczania uprzedzeń, lecz także często nie idzie w parze z autentyczną, tolerancyjną postawą. Tu dobry przykład stanowi skandal dotyczący francuskiego studia Quantic Dream. W styczniu ubiegłego roku tygodnik „Le Monde" opublikował wypowiedzi byłych i obecnych pracowników firmy na temat panującej tam toksycznej atmosfery, spowodowanej m. in. rasistowskimi i seksistowskimi dowcipami oraz obelgami. Wyraźnie kontrastuje to z tematyką ostatniej, bardzo głośnej gry Quantic Dream – „Detroit Become Human". Porusza ona właśnie problem dyskryminacji i uprzedzeń.

Może należy więc zadać sobie pytanie: gdzie leży granica pomiędzy walką o prawa mniejszości a społeczną paranoją? Czy sytuacja, w której ktoś boi się skrytykować postępowanie osoby LGBT, ponieważ nie chce zostać posądzony o homofobię, nie jest czasem popadaniem w skrajność? Krytyka czyjegoś zachowania nie musi oznaczać uprzedzeń wobec tej osoby, tak jak poprawność polityczna publicznie okazana nie jest odpowiednikiem tej postawy w życiu prywatnym i wyrazem rzeczywistych przekonań. Nadal jednak stanowi ważny element życia społecznego. Jej celem jest przecież walka z dyskryminacją i dbanie o szacunek wobec drugiego człowieka.

Źródła:

www.gry-online.pl, www.eurogamer.net , encyklopedia.pwn.pl, www.gram.pl

Drzwi otwarte okiem Patryka Szkuty

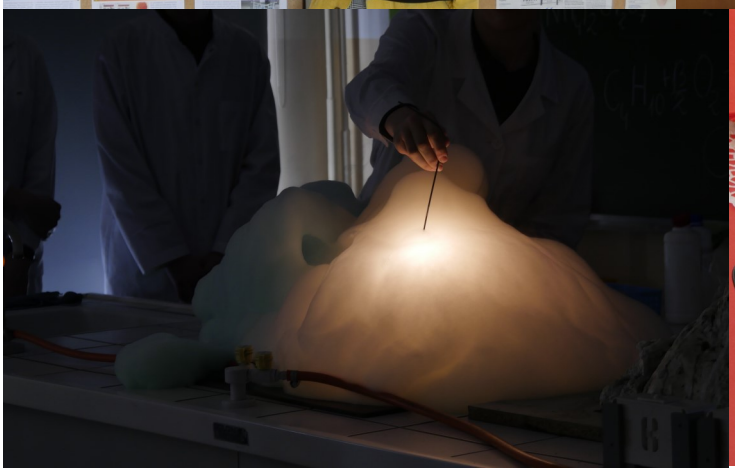

Martyna Sobczak

Pułapka perfekcjonizmu

Pogoń za ideałem jest obecna w naszym życiu, nawet jeśli jej nie dostrzegamy. Już od najmłodszych lat powtarzano nam: nie chodź po błocie, bo się ubrudzisz i będziesz brzydko wyglądać. Teraz, kiedy się poplamimy, albo nie zwracamy na to uwagi, albo w panice ukrywamy plamy, myśląc, że ktoś, kto nas tak zobaczy, od razu uzna nas za flejtucha czy niezdarę. Na wczesnym etapie edukacji musieliśmy nauczyć się perfekcyjnie pisać – litera „o" musiała być owalem, a nie kółkiem, „B" miała mieć jeden brzuszek mniejszy, drugi większy. W obecnych czasach jeszcze trudniej jest nie wpaść w pułapkę perfekcjonizmu, bo media z każdej strony podsuwają nam „idealne" sylwetki i działania celebrytów; raczej nikt nie opowiada o swoich niepowodzeniach na popularnych forach lub w wywiadach, co daje społeczności wyraźny znak, że każdy błąd to powód do wstydu i trzeba go ukrywać.

„Perfekcjonizm jest zachowaniem człowieka; szczególnie osoby zdolne mają skłonności perfekcjonistyczne, wyznaczają sobie wysokie standardy i oczekiwania w wykonywaniu różnych działań albo ogólnym funkcjonowaniu, co ma swoje wady oraz zalety. Z jednej strony osoba może wykonywać wszystko na bardzo dobrym poziomie, czerpiąc z tego satysfakcję, a z drugiej – tej złej – może stawiać sobie wysokie wymagania, które nie zawsze spełnia, co jest dla niej męczące, ponieważ blokada psychiczna: *muszę spełniać te wysokie standardy*, pojawiająca się w tym momencie, sprawia, że człowiek osiąga efekt odwrotny od zamierzonego" – mówi Milena Burdach-Szydłowska, psycholog Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej w Toruniu.

Dzięki perfekcjonizmowi możemy osiągać wymarzone cele, spełniać marzenia, nieustannie rozwijać swoje zdolności. Wizja sukcesu daje nam motywację do pracy. Porażki przyjmujemy z wyrozumiałością dla siebie i próbujemy aż do skutku. Potrafimy rozsądnie wykorzystać nasze talenty, odkrywać kolejne, a szukając nowych rozwiązań, pobudzamy naszą kreatywność oraz kształtujemy otwartość na nieznane, ale bardzo łatwo możemy całkiem zatracić się w tych dążeniach i nie mieć dla siebie zrozumienia.

„Myślę że perfekcjonizm jest raczej podyktowany chęcią bycia najlepszą wersją siebie. Według mnie, bycie w czymś dobrym jest jak najbardziej przydatne. Natomiast gdy zwykła samowystarczalność przeradza się w niezdrową obsesję, to ja osobiście wolę wyrzucić perfekcję do kosza" – twierdzi Agata Kucharska. „Dążenie do perfekcji jest moim zdaniem chore!" – oburza się Małgorzata Ostrzechowska. „Tytułowy bohater *Opowieści o pilocie Pirxie* nauczył mnie" – kontynuuje – „że najbardziej doskonała okazuje się nasza niedoskonałość. Perfekcja jest pojęciem względnym i każdy inaczej ją interpretuje. Uważam, że dążenie do niej jest problemem, bo ludzie zamiast być sobą, stają się wtedy wyimaginowaną wersją siebie, co przeszkadza w czerpaniu radości z życia oraz samoakceptacji". – „U perfekcjonistów nawet niewielkie potknięcie może spowodować lawinę wyrzutów sumienia" – dodaje Agata.

„Perfekcjonizm" – zauważa Milena Burdach-Szydłowska – „bywa również źródłem niepowodzeń szkolnych". Można tutaj mówić o takim neurotycznym perfekcjonizmie, gdy osoba stawia sobie bardzo wysokie wymagania, ale towarzyszy im lęk przed tym, że nie osiągnie wyznaczonego sobie celu i zostanie przez to nisko oceniona. Wynika to z tego, że takie osoby postrzegają świat w biało-czarnych barwach, czyli: „jak coś robię, to muszę to zrobić na 100% albo w ogóle tego nie robię", co jest szkodliwe dla nich samych. Mogą mieć też tendencje do zwlekania, bo boją się porażki, oceny, krytyki w oczach innych oraz własnych, więc wolą nie zaczynać, jeżeli nie mają

pewności, że zrobią coś na bardzo wysokim poziomie. W ich mniemaniu pośrednie wyniki, typu czwórka, trójka (w systemie szkolnym) to porażka. Są krytyczni wprawdzie także wobec innych, ale głównie wobec siebie. Sposób myślenia: „Inni mnie oceniają. Mogę wypaść gorzej od nich. Co będzie, jak mi się nie uda?" bardzo mocno hamuje perfekcjonistę. Wtedy zaczyna reagować też jego ciało, mogą pojawić się bóle brzucha, klatki piersiowej, wrażenie zbliżającego się omdlenia, więc poziom wykonania danego zadania się obniża, bo ta blokada powoduje, że nie wykorzystuje on swojego potencjału.

Rozpoznania psychologów znajdują potwierdzenie w uczniowskim doświadczeniu. Moje rozmówczynie, Agata Kucharska i Małgosia Ostrzechowska, są uczennicami GiLA: „Nasza szkoła należy do najlepszych w Polsce, więc uczęszcza do niej naprawdę zdolna młodzież, ale kiedy zgromadzimy w jednym budynku prymusów z różnych szkół, znów tworzy się podział na lepszych i gorszych, a uczniowie w GiLA pod wpływem wybitnie zdolnego środowiska zazwyczaj zapominają, że również do niego należą i to nie bez przyczyny, lecz za sprawą swoich umiejętności" – zauważa Małgorzata. Chce zwrócić uwagę na niszczycielskie skutki perfekcjonizmu, w tym celu decyduje podzielić się ze mną swoją historią, w której przekroczyła jego bezpieczną granicę. „Kiedyś sama dążyłam do perfekcjonizmu" – mówi – „co zostało spotęgowane właśnie przez moje przyjście do GiLA, ponieważ znalazłam się w otoczeniu osób lepszych ode mnie w niektórych dziedzinach i chciałam im dorównać. W podstawówce byłam jedną z najlepszych uczennic w klasie i nie musiałam się przy tym za bardzo starać, bo nauka przychodziła mi z dużą łatwością. Na początku mi to nie przeszkadzało, ale kiedy weszłam w środowisko osób naprawdę zdolnych, moja zdolność nie wydawała się już niczym nadzwyczajnym. Czułam się gorsza, choć wcale taka nie byłam, bo znalazłam osoby, w moim mniemaniu, lepsze ode mnie. Przerodziło się to w obsesję porównywania siebie do innych, co jest chyba najgorsze, bo każdy człowiek jest inny i nie mamy prawa porównywać się do kogoś, bo nie wiemy, ile ta osoba zrobiła, żeby być taką, jaką jest" – podkreśla Małgorzata. „Zaczęło się od płaczu z bezsilności" – kontynuuje – „potem całkowicie zniechęciłam się do nauki, przez co całą drugą klasę gimnazjum wcale się nie uczyłam, bo uznałam, że to bez sensu, skoro i tak nie dorównam mojej klasie. Spadło moje poczucie własnej wartości, coraz bardziej zaczynałam zwracać uwagę na oceny innych i porównywać je ze swoimi. Strach przed popełnieniem błędu był zbyt silny, by wystawić swoje możliwości na próbę. Nie byłam aktywna na lekcjach, zapytana o coś nie odpowiadałam, nawet jeśli znałam odpowiedź, gdyż bałam się, że może ona nie być satysfakcjonująca dla nauczyciela oraz moich rówieśników. Wydawało mi się, że skoro inni są lepsi, to ja nie mam szans, żeby dorównać im chociaż trochę. Dopiero niedawno wyszłam z tej pułapki. Teraz się nie zgłaszam na lekcjach, bo nie czuję potrzeby dzielenia się swoją wiedzą na forum klasy, ale nie jest to już chęć bycia perfekcyjną" – wyznaje Małgorzata.

Problem nie znika po zamknięciu drzwi szkoły. Jak mówi Milena Burdach-Szydłowska: – Perfekcjonizm nierzadko ujawnia się na wszystkich płaszczyznach naszego życia. Szkolne doświadczenie może się przekładać na to, jakimi jesteśmy pracownikami, małżonkami, rodzicami i jakie wymagania sobie w życiu stawiamy. W przyszłości osoba, która wcześniej wypracowała sobie perfekcjonistyczny system działania, będzie podejmowała się wielu ambitnych projektów, a jeśli uzna, że wg jej standardów nie zrealizuje któregoś z nich na 100%, będzie go unikała lub ciągle odkładała na później. Możemy też zacząć chorować – boli nas głowa, żołądek – wtedy mamy wytłumaczenie: „Nie udało mi się tego zrobić, bo nie byłem w pełni dyspozycyjny". Takie osoby paradoksalnie, mimo że wydają się chętne do wszystkiego, boją się nowych zadań, bo wówczas narażają się na porażki z powodu niedoświadczenia, a perfekcjoniści nie lubią porażek, więc będą starali się obracać wokół tego, co już jest im znane.

Perfekcjonizm może doskwierać nam nawet całe życia, a najczęściej zaczyna się już w młodym wieku, przypominając nieco uzależnienie, do którego wystarczyła tylko chwila bezsilności. Trudno z nim walczyć, mimo świadomości, że nas wyniszcza. „W perfekcjonizm najczęściej wpędza ludzi ich otoczenie oraz komunikaty, które z niego odbierają, np. dzieci od rodziców. Składa się na to sposób, w jaki wychowują, czego oczekują, jakie standardy narzucają swoim pociechom. Zazwyczaj perfekcjonizm dotyka osób, które były pierwszymi dziećmi w rodzinie – bo to od nich rodzice najwięcej wymagają, czasem nawet nieświadomie – albo które straciły kogoś ważnego na pewnym etapie swojego życia; chcą wtedy udowodnić, że sobie poradziły w życiu" – wyjaśnia Milena Burdach- Szydłowska.

Z uzależnieniami można jednak wygrać. Najlepiej zacząć walczyć z nimi od razu, żeby nie spowodowały jeszcze większych szkód, ale nie zawsze musimy pozostawać w tej potyczce sami; pomoc odpowiedniej osoby bywa nawet niezbędna, z perfekcjonizmem sytuacja ma się podobnie. „W przypadku uczniów istotną rolę w walce może odgrywać również pedagog szkolny. Powinien on porozmawiać z dzieckiem o jego obawach i wytłumaczyć mu, iż bycie idealnym nie jest najważniejsze. Nauczyć go obserwowania innych ludzi, którzy też nie są idealni pod każdym względem, nie wszystko idzie po ich myśli i nie zawsze są na szczycie. Powinien pomóc uczniowi otworzyć się na popełnianie błędów, które zdarzają się każdemu" – mówi Agata.

W niektórych przypadkach dobrym wyborem może okazać się również wizyta u psychologa lub psychoterapeuty. „Do specjalisty powinniśmy zgłosić się, kiedy zaczynamy chorować, unikać ważnych dla nas spraw, rezygnować z nich, albo gdy dostajemy sygnały od otoczenia, że coś złego się z nami dzieje, ale głównie, kiedy pojawiają się już pierwsze sygnały np. depresji, zaburzeń odżywiania lub nerwicowych" – radzi Milena Burdach-Szydłowska.

Magda Bródka

INSTA(de)presja

Życie wielu ludzi, nie tylko młodzieży, toczy się w dużej mierze na portalach społecznościowych. Bez przerwy komunikujemy się za pomocą Messengera, przeglądamy Facebooka, Twittera, pokazujemy przypadkowe chwile z życia na Snapchacie, a te najważniejsze i najładniej uwiecznione prezentujemy na Instagramie. Na tym ostatnim często obserwujemy gwiazdy, celebrytów, infuencerów, którzy codziennie dostarczają nam świeżą porcję ślicznych obrazków – fit jedzenia, wakacyjnych widoków, markowych ubrań, dużych imprez w gronie innych znanych ludzi. Zainteresowana tym tematem, postanowiłam porozmawiać z panią Jolą Lewandowską, nauczycielką i psychologiem, która niedawno ukończyła pracę poświęconą zależności portali społecznościowych i zdrowia psychicznego.

Magda Bródka: Skąd bierze się potrzeba śledzenia „ładnych" profili?

Jola Lewandowska: Jedną z przyczyn jest samotność i epizody depresyjne wśród młodzieży. Młodzi ludzie tworzą sobie wyobrażenie kontaktu z obserwowanymi osobami, wydaje im się nawet, że mogą stać się częścią ich życia.

I to niweluje poczucie samotności?

Wręcz przeciwnie. Może na chwilę to uczucie się zmniejsza, jednak bardzo szybko przychodzi świadomość, że ktoś teraz bawi się ze znajomymi, a my siedzimy sami. Przez spędzanie wielu godzin na portalach, możliwość przeglądania co sekundę nowych zdjęć, zaniedbujemy kontakty z ludźmi i faktycznie stajemy się samotni.

Czy oglądanie zdjęć gwiazd i influencerów może powodować zaburzenia takie jak zaniżona samoocena czy fałszywy obraz własnego ciała?

Oczywiście. Wystarczy pomyśleć, że ktoś zarabia o wiele więcej, nie ma problemów (przecież tego się nie pokazuje), wszystko wie i umie. Już to skłania do myślenia o sobie, jako o kimś gorszym. W dodatku szerzy się moda na blogi i profile o tematyce fitnessu, odchudzania, kultu ciała. Zdjęcia na takich stronach często są edytowane i nie pokazują faktycznego wyglądu osób, ale oglądający widzą po prostu piękne, wyrzeźbione sylwetki. Przez to wielu z nich popada w kompleksy, mogące skutkować nawet zaburzeniami odżywiania czy treningiem ponad siły.

Dlaczego czujemy taką presję, żeby nasze życie też wyglądało w internecie jak najlepiej?

Nikt nie chce być gorszy, odstawać. Przeglądając social media bardzo często porównujemy się z innymi, ale też czujemy podziw, zachwyt i chcemy, żeby i nasze życie takie odczucia budziło.

Czy dążenie do idealnego wyglądu, statusu materialnego i stylu życia, żeby pokazywać je na portalach, może być niebezpieczne?

Jak już wspomniałam, często popadamy przez to w błędne przekonania i zaburzenia. Ale istotne jest też to, że poświęcając za dużo czasu na doskonalenie tych nieznaczących przecież kwestii, zapominamy o tych naprawdę ważnych – szczęściu, rodzinie, zdrowiu.

Badania przeprowadzała pani pośród młodzieży, ale czy możemy

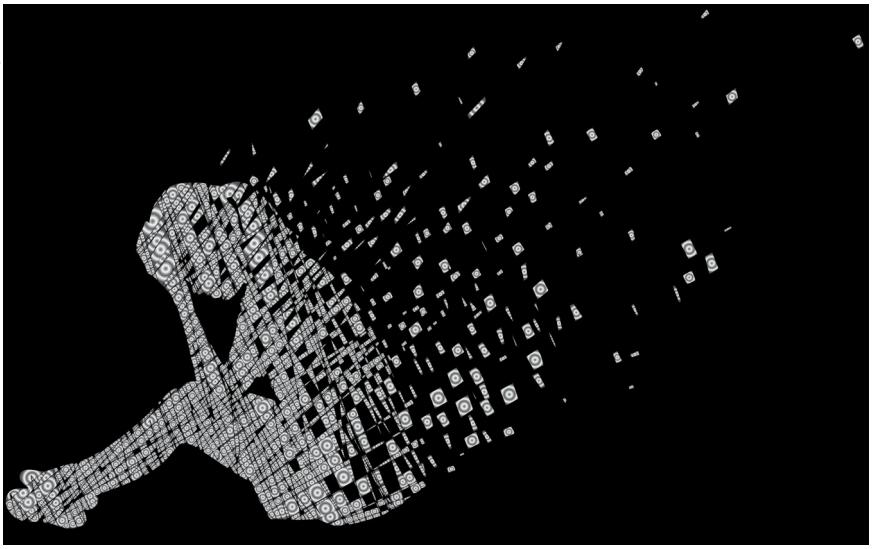
Talkspace

uznać, że w jakimś stopniu te wnioski dotyczą też osób dorosłych?

Nie mogę stwierdzić, czy prezentowałyby się tak samo. Myślę jednak, że negatywne skutki spędzania godzin na portalach mogłyby być podobne. W końcu dorośli też czasem czują się samotni i też są podatni na bodźce.

Jak w takim razie bronić się przed konsekwencjami?

Chyba nie ma odpowiedniej strategii. Ważne jest, żebyśmy umieli ograniczać sobie czas spędzany w internecie i uświadomili sobie, że niczyje życie nie jest perfekcyjne, wbrew temu, co pokazuje nam Instagram. Człowiek naturalnie porównuje się do innych, ale pamiętajmy, że zdjęcia i wpisy na portalach społecznościowych nie mogą być racjonalnym wyznacznikiem takich porównań. Warto więc pamiętać, że ładne fotki to nie wszystko i zastanowić się dwa razy, zanim poddamy się zgubnej presji.

Jak widać, wpływ wywierany na nas przez social media staje się kolejnym zagrożeniem na naszych drogach. Może to odpowiedni czas, żeby przemyśleć, jak presja działa na każdego z nas z osobna i z tą wiedzą stać się bardziej świadomym użytkownikiem?

Justyna Kulis

Historia pewnej kapryśnej windy

Przez cały czas jest obok. Szczęściarze może doświadczyli podróży w jej komfortowym wnętrzu, inni zapewne nie mieli okazji. Część, wychodząc w pośpiechu z budynku, pewnie korzystała co najwyżej z lustra skrytego za jej zwykle otwartymi drzwiami. Jednak dla nas jako uczniów przez większość czasu jest zakazanym owocem. Większość osób, które mieszkają na piętrze wyższym niż pierwsze, często kieruje utęskniony wzrok w jej stronę. Mowa oczywiście o windzie w naszym internacie.

Pierwszy raz można było się z niej skorzystać około pięć lat temu. Głównym celem jej istnienia miała być pomoc paniom woźnym, które ciągle musiały przemieszczać się między piętrami, jednak najżywsze reakcje wywołała u samych uczniów. W końcu mogli ulżyć swoim nogom i uniknąć wspinaczki po schodach, ale niestety, niektórzy byli nazbyt rozentuzjazmowani. Kiedy wchodzili do środka i widzieli dwa rządki okrągłych przycisków, nie mogli oprzeć się takiej pokusie i wciskali wszystkie, wysyłając windę w niepotrzebnie wydłużoną podróż. Może i niektórzy zażywali w ten sposób rozrywki, ale kosztem wypełniania przez windę jej podstawowego zadania.

To jednak nie był jedyny problem, później zdarzyła się prawdziwa tragedia. Na mieszkańców internatu jak grom z jasnego nieba spadła informacja, że doszło do kradzieży. A najgorsze, że aby dostać się do pokoi uczniów, złodziej skorzystał właśnie z tego dobrodziejstwa, jakim jest winda. Nieszczęsna, nie z własnej winy powiązana została z tak niegodziwym czynem. Jej dobre imię zostało zszargane i nic nie można było na to poradzić. To jednak nie koniec, wszakże nieszczęścia chodzą parami… a czasem też w większych gromadach – winda uległa awarii i na pewien czas usunęła się z życia uczniów naszej szkoły.

Po jej ponownym uruchomieniu nie wszystko było tak jak dawniej. Już nie czekała zawsze gotowa, aby umożliwić komuś przyjemną podróż między piętrami – teraz przez większość czasu była wyłączona, stacjonowała na parterze i nie mogąc służyć za środek transportu, udostępniała innym przynajmniej swoje lustro. Poza ruchliwym czasem wyjazdów uczniów z internatu uruchamiano ją tylko podczas trwania lekcji, aby mogła realizować swoje oryginalne zadanie. Jednak najbardziej bolesne okazało się, że nawet jeśli jakiś zabiegany mieszkaniec internatu zdążał na przerwie do swojego pokoju i trafił na moment, gdy winda była akurat włączona, to mógł zostać zbesztany za chęć ułatwienia sobie przeprawy na piętro i wysłany na schody. Nie miało znaczenia, w jak naglącej sytuacji ktoś się znajdował, nawet jeśli i tak stała bezczynnie – uczniom stanowczo zabroniono korzystać z windy. Jednak, jak powszechnie wiadomo, zakazy są po to, aby je łamać, więc niektórym wciąż udaje się załapać na nielegalne przejażdżki, a inni po prostu pogodzili się ze świadomością, że muszą spalać trochę kalorii na schodach lub tłamszą w sobie żal i tęsknotę. Można jedynie mieć nadzieję, że kiedyś jeszcze drzwi windy staną przed nami otworem.

Zuzanna Kuffel

Czuję się Europejczykiem

„Mam wrażenie, że podczas sesji EYP ludzie żyją na sto procent" – mówi Natan Mitros, uczeń toruńskiego GiLA i wielokrotny uczestnik obrad Młodzieżowego Parlamentu Europejskiego.

Zuzanna Kuffel: Dopiero co wróciłeś z Pilzny w Czechach. Jak podobały Ci się tamtejsze obrady Młodzieżowego Parlamentu Europejskiego (EYP)?

Natan Mitros: Sesja w Pilźnie była najlepszą w moim życiu. Podobała mi się z wielu powodów, ale przede wszystkim ze względu na wspaniałych ludzi.

Gdzie odbywały się pozostałe EYP, w których uczestniczyłeś?

Najpierw jako delegat pojechałem na narodową sesję selekcyjną w Białymstoku. Tam wybrano mnie do reprezentowania Polski na międzynarodowych obradach w Rotterdamie, podczas których zdecydowałem, że chciałabym bardziej zaangażować się w działania Młodzieżowego Parlamentu Europejskiego, ale już jako official, czyli ktoś, kto uczestniczy w przygotowaniach delegatów do sesji i prowadzi ich przez debaty. Taką osobę nazywa się chairem. Aplikowałem na wiele sesji. Przyjęto mnie na Majorkę oraz do Madrytu. Wcielenie się w nową rolę po raz pierwszy stanowiło dla mnie niemałe wyzwanie, ale spodobało mi się to i skłoniło, żeby zgłosić się do Czech na sesję narodową.

Wolisz być chairem czy delegatem?

Z perspektywy czasu bardziej podoba mi się rola chaira. Organizatorzy zawsze zjeżdżają się z całej Europy, a grono delegatów jest tak zróżnicowane tylko podczas sesji międzynarodowych. Dla mnie, kiedy jestem chairem, sesje są znacznie silniejszym przeżyciem. Wymagają one też więcej pracy. Przed sesją muszę napisać dla członków swojego komitetu topic overview, czyli przedstawienie problemu, o którym będziemy dyskutować z wielu perspektyw. Muszę też zaplanować gry na teambuilding. To na moich barkach spoczywa integracja komitetu.

To, że nie przyjęto Twoich aplikacji na kilka innych sesji, może wskazywać, że EYP cieszy się dużym zainteresowaniem młodzieży?

Myślę, że tak. Z tego, co słyszałem, na niektóre sesje, oferujące 5 lub 6 miejsc, spływa ponad 80 zgłoszeń. EYP działa jak magnes. Jeśli raz tam pojedziesz, chcesz uczestniczyć w kolejnych sesjach.

Dlaczego te wydarzenia tak bardzo podobają się młodym, „wciągają ich"?

Moim zdaniem ze względu na szybką integrację, jaka zachodzi w ciągu kilku dni trwania sesji. Każdy z nich wypełniony jest zajęciami od rana do wieczora. Potem jest czas na rozmowy i wymianę poglądów. Mam wrażenie, że podczas sesji EYP ludzie żyją na sto procent.

Jak długo trwają sesje?

Sesje regionalne trwają zazwyczaj trzy dni, cztery – dla organizatorów. Narodowe – od czterech do pięciu. Międzynarodowe – od siedmiu do dziewięciu.

Gdzie odbywają się te ostatnie?

W różnych miejscach na świecie. Niedawno odbyła się sesja w Erywaniu, w Armenii. Następna będzie w Hamburgu, Mediolanie, a jesienią w Warszawie.

Można na nie aplikować czy trzeba być wybranym?

Dla Polaków są dwa sposoby, żeby dostać się do „międzynarodówki". Pierwszy – poprzez nominację zdobytą podczas narodowej sesji selekcyjnej. Drugi – poprzez członkostwo w EYP Poland, co daje szansę osobom, które już raz uczestniczyły w sesji narodowej, ale nie otrzymały nominacji.

Sesje regionalne, narodowe, międzynarodowe różnią się między sobą? Może te o większym zasięgu są bardziej oficjalne?

Wszystkie sesje przebiegają w ten sam sposób. Każdą z nich rozpoczyna dzień przeznaczony na teambuilding, czyli integrację, o mniej oficjalnym charakterze. Następnie odbywa się półoficjalny committe work, podczas którego dyskutuje się nad problemem przydzielonym komitetowi i pracuje się nad rezolucją proponującą rozwiązanie tego problemu. Najbardziej oficjalny jest dzień General Assembly, czyli zgromadzenia wszystkich komitetów, podczas których przedstawia się opracowane rezolucje i gło-

suje się nad nimi. Na „międzynarodówkach" poziom rezolucji jest o wiele wyższy niż na sesjach niższego szczebla.

Stworzone rezolucje mają przełożenie na rzeczywistość?

Rezolucje z sesji regionalnych i narodowych nie wychodzą poza obrady General Assembly, natomiast te z sesji międzynarodowych wysyła się do Komisji Europejskiej z imionami i nazwiskami osób, które je tworzyły, jako potencjalne inspiracje do rozwiązywania problemów.

Można angażować się w EYP także po liceum?

Większość osób najbardziej uaktywnia się po maturze. Nieoficjalną górną granicą jest 25 lat, bo wtedy ludzie zazwyczaj kończą już studia i wchodzą w dorosłe, bardziej ustabilizowane życie.

Jakie umiejętności daje udział w sesjach Młodzieżowego Parlamentu Europejskiego?

Zdecydowanie umiejętność nawiązywania kontaktów z ludźmi. Pozwala nie bać się bycia sobą. Podczas sesji każdy jest otwarty, co rozwija pewność siebie.

Do bycia sobą potrzebne jest stymulujące i komfortowe środowisko. Czy EYP zrzesza osoby o podobnych, liberalno-demokratycznych poglądach? Czy jednak pojawia się młodzież z różnych biegunów politycznych?

Zazwyczaj są to osoby o poglądach liberalno-demokratycznych. Trudno byłoby osobie nietolerancyjnej dyskutować w takiej grupie. Dzięki temu tworzy się strefa komfortu.

Jakie problemy są omawiane podczas obrad? Z jakimi mierzyły się twoje dotychczasowe komitety?

W Białymstoku mój komitet zajmował się strefą euro, co mocno wiązało się z ekonomią. Temat od początku wydawał mi się trudny i obcy, ale dowiedziałem się sporo z tej dziedziny. W Rotterdamie dyskutowaliśmy o służbie zdrowie i sposobach na jej ulepszenie w Europie. Na Majorce, jako chair, prowadziłem dyskusję o eurosceptycyzmie, a w Madrycie – o językach mniejszości. W Pilźnie mój komitet przygotowywał rezolucję rozwiązującą problem overtourismu, z którym mierzą się najbardziej popularne destynacje podróżnicze, np. Barcelona czy Wenecja. Miejscowi zwykle nienawidzą tam turystów.

Uczestniczyłeś też w Młodzieżowych Symulacjach Obrad ONZ (MUN), podczas których również dyskutuje się o globalnych problemach. Które obrady uważasz za bardziej rozwijające?

Archiwum prywatne Natana

Językiem tych wydarzeń jest angielski i oba w równym stopniu pozwalają poprawić umiejętności komunikacji. Mimo to moim zdaniem EYP jest znacznie lepsze. Podczas konferencji Model United Nations brakuje mi elementu integracji, tak widocznego w Młodzieżowym Parlamencie Europejskim. Nie ma dnia teambuildingu. Po obradach delegaci po prostu się rozchodzą, nie spędzają czasu wolnego w swoich komitetach. Komitety podczas MUN są w dodatku znacznie większe niż te w EYP. Podczas MUN nie wyraża się swojej opinii, tylko wciela się w delegata przydzielonego państwa i mówi zgodnie z jego polityką.

Madryt, Majorka, Rotterdam – odwiedziłeś wiele miejsc dzięki EYP. Jest to dobra forma turystyki?

Nie jest to najlepsza forma. Podczas sesji nie da się dobrze zwiedzić miasta. Czasem w jej trakcie jest przewidziana mała wycieczka, można też przyjechać dzień wcześniej lub wyjechać dzień później. Najlepiej wspominam sesje narodowe – w Białymstoku i w Pilźnie, mimo że nie są tak turystycznie atrakcyjne, jak Madryt czy Majorka. Najważniejsze jest to, że poznaje się wielu rówieśników, z którymi można nawiązać szczególną więź. Podczas spotkań na kolejnych sesjach osoby poznane w Białymstoku rozmawiają jak starzy przyjaciele.

W Białymstoku po raz pierwszy uczestniczyłeś w sesji EYP. Co cię wtedy zaskoczyło?

Pozytywnie zaskoczyło mnie to, jak niewielkie są komitety w porównaniu z MUN, w których wcześniej uczestniczyłem. Nie spodziewałem się, że z sesjami EYP łączy się tak wiele zabawy i radości. Podczas obrad EYP strona akademicka jest znacznie mniej ważna niż towarzyska.

Wyobrażasz sobie Polskę poza Unią Europejską?

Zdecydowanie nie. Pomijając ogromne korzyści finansowe, jakie płyną z przynależności do Unii Europejskiej, nie wyobrażam sobie Polski poza srefą Schengen. To wspaniałe, że jadąc ostatnio do Hiszpanii czy Czech mogłem przekroczyć granicę, po prostu pokazując dowód. Dzięki Unii mogę przeprowadzić się do dowolnego europejskiego kraju – studiować i podjąć tam pracę. Moim zdaniem Polska bez Unii mogłaby upodobnić się do Białorusi pozostającej pod rosyjskimi wpływami. Żeby Europa była silna, musi być zjednoczona. Czuję się Europejczykiem.

Róża Kołodziej

Wyrusz w drogę!

Swoją przygodę ze Światowymi Dniami Młodzieży rozpoczęłam trzy lata temu, kiedy podczas wakacyjnego pobytu w Krakowie przypadkiem trafiłam na to międzynarodowe wydarzenie gromadzące miliony młodych ludzi. Ich wszechobecna radość oraz życzliwość płynąca z ich serc poruszyły mnie i sprawił, że postanowiłam wtedy, iż wyjadę na kolejne ŚDM do Panamy. Wątpliwości dotyczące wyjazdu towarzyszyły mi bardzo długo. Nie miałam pojęcia, co właściwie mnie czeka i jak przygotować się do takiej podróży. Panama to nie tylko piękne słońce i idylliczne plaże, ale również trudy pielgrzymki, wiele niebezpieczeństw związanych z egzotycznym klimatem i tropikalnymi chorobami oraz odległość dzieląca dwa kontynenty. Pomyślałam jednak, że niekiedy szanse w życiu zdarzają się tylko raz, co pozwoliło mi wytrwale dążyć do tego, aby w 2019 roku móc uczestniczyć w tych wydarzeniach. I tak też się stało. Tej wspaniałej atmosfery pielgrzymki nie da się w pełni opisać w krótkim artykule, to trzeba poczuć i przeżyć. Wyjazd stał się dla mnie nie tylko fantastyczną okazją do poznania nowego kraju i jego mieszkańców, ale przede wszystkim pozwolił mi odkryć siebie – taką, jakiej dotąd nie znałam. W daleką drogę wyruszałam pełna obaw, jako najmłodsza uczestniczka pięćdziesięcioosobowej grupy ludzi, których wcześniej nigdy nie widziałam. Jednakże już trwająca ponad 24 godziny wspólna podróż przez Stambuł i Bogotę sprawiła, że mogliśmy się lepiej poznać. Towarzyszące tej wyprawie emocje,

Archiwum prywatne Róży

stres i ciekawość tego, co na nas czeka na miejscu, dały początek wielu niezapomnianym przyjaźniom. Kiedy już dotarliśmy do celu naszej wyprawy, ulokowano nas w panamskich domach w Penonome, miejscowości oddalonej o 150 km od stolicy. Ogromnym przeżyciem dla mnie było zobaczyć na własne oczy prawdziwe życie ludzi w Ameryce Łacińskiej, które do tej pory było mi znane tylko z programów telewizyjnych. W związku z tym, że Panama jest krajem, w którym zdecydowana większość mieszkańców jest głęboko wierząca, tubylcy, jak przystało na praktykujących katolików, przywitali nas w swojej parafii.

Powitanie było bardzo gorące, również w dosłownym tego słowa znaczeniu, gdyż rtęciowe termometry (te, które nie zdążyły eksplodować) pokazywały temperaturę 38 stopni Celsjusza. I tak jak w filmie „Kochaj albo rzuć", każda panamska rodzina czekała na swoich gości z ich imionami wypisanymi na wielkich transparentach albo kawałku pudełka po mleku (w zależności od zamożności), a niektórym z nas udało się otrzymać nawet drobne upominki. Powitaniom nie było końca, tańce i śpiewy trwały do późnych godzin wieczornych, aż do momentu, kiedy ostatni pielgrzymi udali się ze swoimi opiekunami do ich domostw.

Nie wiem, czy miałam wyjątkowe szczęście, czy wyjątkowego pecha, ale trafiłam do ubogiego domu. Był to dom, w którym drzwi do mojej „sypialni" były zastąpione kawałkiem materiału, dach kawałkiem blachy lub gołym niebem, a worki i plastikowe pudełka pełniły funkcję mebli. Otrzymałam też wiadro wody, które do dzisiaj nie wiem, czy miało posłużyć mi do jednorazowego umycia się, czy też do tygodniowej toalety (dlatego warto uczyć się języka hiszpańskiego). Myłam się w nim przez kilka dni, ponieważ bieżąca woda była dostępna tylko 2 razy w tygodniu. Kąpiel w ogrodzie, pod palmami oraz spanie z trzema jaszczurkami, które odwiedzały mnie każdej nocy, to na pewno te chwile, których nigdy nie zapomnę. Mimo odczuwalnej biedy i fatalnych warunków mieszkaniowych, których nie da się porównać do polskich standardów, mieszkańcy dalekiej panamskiej prowincji wydawali się najszczęśliwszymi ludźmi na świecie. Przez pierwsze dni spędzaliśmy z nimi większość czasu, poznając ich codzienne życie, lokalną kulturę i zakątki Penonome. Byłam bardzo zaskoczona niezwykłym zaangażowaniem mieszkańców w przygotowania obchodów Światowych Dni Młodzieży. Organizowane z tej okazji fiesty, podczas których tańczyliśmy i kosztowaliśmy tamtejszych potraw, zapamiętam na długo. Jednak szczególne miejsce w mojej pamięci zajmują… paaaaarówki z kukurydzy — to „coś" prześladowało mnie jeszcze przez wiele tygodni. W domu, w którym przebywałam, mieszkało starsze małżeństwo ze swoimi dwiema dorosłymi córkami oraz ośmiorgiem nastoletnich wnuków. Nikt z nich nie rozmawiał po angielsku, więc miałam idealną okazję do wykazania się umiejętnościami języka hiszpańskiego. Traktowali mnie jak część swojej rodziny, nazywając „hija", co znaczy „córka". Ten fakt sprawił, że przez ten krótki czas czułam się tam, jak w domu. Atmosfera radości, dobroci i wzajemnej akceptacji była nieustannie obecna. Nie wiem, czy to zasługa świątecznej aury, czy też mieszkańcy Panamy mają taką naturę, która sprawia, że potrafią okazywać swoje dobre serce na każdym kroku. Ostatniego dnia w Penonome czułam prawdziwy smutek, ponieważ przez zaledwie cztery dni bardzo przywiązałam się do tych niezwykłych ludzi i do tego zaczarowanego miejsca.

Archiwum prywatne Róży

Z Penonome przejechaliśmy autobusem do Panama City i również zamieszkaliśmy w domach przypadkowych panamskich rodzin. Życie w stolicy diametralnie różni się od tego, którego doświadczyłam wcześniej. Tam ludzie żyli jak jedna wielka rodzina, spędzając ze sobą dużo czasu i pomagając sobie nawzajem. W mieście wyglądało to inaczej. Panama przypomina zatłoczoną Warszawę, gdzie każdy się spieszy i brakuje mu czasu na to, aby spędzać go ze swoimi bliskimi. Pełen wygód dom, w którym zamieszkałam w Panama City, przypominał podmiejską willę w Polsce. Pozwoliło mi to zregenerować siły i odpocząć przed wydarzeniami, które miały nastąpić. W końcu nadszedł ten wielki tydzień, podczas którego miały miejsce wydarzenia centralne Światowych Dni Młodzieży. Miasto było roztańczone i pełne pielgrzymów z całego świata, którzy każdego dnia spotykali się na Cinta Costera, aby doświadczać wspaniałych doznań. Każdy dzień przynosił niesamowitą dawkę energii i radości. To właśnie tutaj przemawiał papież oraz odbywały się liczne koncerty. Przez cały ten czas nasza grupa korzystała z gościnności parafii San Gerardo Maria Mayela, gdzie spotykaliśmy się, aby wspólnie oddać się refleksji i modlitwie. Ten czas pomagał nam wyciszyć się i zastanowić nad sobą, lepiej poznać siebie i swoje pragnienia oraz poczuć dobro płynące od innych ludzi. Pomimo wszechobecnego zgiełku, hałasu i muzyki oraz tego, że tak wiele nas wszystkich różniło, łączył nas jeden cel, dla którego tu przybyliśmy jako pielgrzymi. Ludzie z najdalszych zakątków świata, których poznałam, przyjaźnie, jakie nawiązałam, miejsca, które zobaczyłam, i w szczególności to, czego doświadczyłam to nagroda za podjęte ryzyko i wysiłek, jaki włożyłam, aby się tam znaleźć.

Dni Młodzieży to miejsce dla nas, dla ludzi młodych. Za trzy lata odbędą się one na naszym kontynencie, wiec nic nie stoi na przeszkodzie, abyście i Wy mogli w nich uczestniczyć! Abyście, tak jak ja, choć na chwilę mogli stać się pielgrzymami. Papież Franciszek podczas pierwszego spotkania w Panamie powiedział, że najważniejszy w życiu jest pierwszy krok. „Jeżeli wyruszasz w drogę, to znaczy, że już jesteś uczniem. Jeśli stoisz w miejscu, przegrałeś”. Te słowa niosą dla nas przesłanie, aby nie bać się spełniać swoich marzeń, nawet wtedy, kiedy jest to okupione ogromnym wysiłkiem, ryzykiem i walką z przeciwnościami losu. Podstawą w osiągnięciu tego celu jest wiara i wytrwałość.

Przyszłość należy do tych, którzy wierzą w piękno swoich marzeń, dlatego spakujcie do plecaka swoje marzenia i… do zobaczenia w Lizbonie na kolejnych Światowych Dniach Młodzieży w 2022 roku!

Fot. Róża Kołodziej

Zuzanna Sędziak

Wielka Mysz zjada własny ogon

W dzisiejszych czasach wytwórnia The Walt Disney Company przeżywa prawdziwe apogeum rozkwitu i umacnia swoją pozycję na rynku mediów. Wykupując prawa do kolejnych franczyz i ogłaszając nowe projekty, Wielka Mysz nieustannie poszerza granice swojego Imperium. A rok 2019 zajmuje szczególnie istotne miejsce w kalendarium disneyowskich podbojów.

Wytwórnia Disney podzieliła się z odbiorcami niezwykle rozbudowanym projektem realizacji aktorskich wersji kultowych filmów animowanych. Poczet remake'ów otworzył wyreżyserowany przez Tima Burtona „Dumbo", który miał swoją premierę światową 11 marca, a na ekrany polskich kin wszedł niewiele ponad dwa tygodnie później. Wśród recenzji najnowszej disneyowskiej produkcji można znaleźć zarówno pozytywne oceny, jak i głosy krytyki. Internauci prowadzą ożywione dyskusje nie tylko na temat jakości rzeczonego remake'u, ale podają też w wątpliwość zasadność samej idei ponownej eksploatacji historii opowiedzianych w klasycznych kreskówkach. Realizowane z brutalną pieczołowitością porównania oryginału filmu oraz jego aktorskiej wersji, z których tegoroczny „Dumbo" przeważnie nie wychodzi zwycięsko, rzucają cień na plany Wielkiej Myszy oraz implikują pytanie: czy The Walt Disney Company nie szkodzi przypadkiem samej sobie, rozpoczynając masową produkcję adaptacji live-action?

Przyglądając się temu zagadnieniu, należy oczywiście zwrócić uwagę, iż odbiorcy bynajmniej nie mają do czynienia z remake'ami disneyowskich filmów po raz pierwszy. W trzech minionych dekadach wytwórnia eksperymentowała już ze starymi scenariuszami, tworząc aktorskie wersje animowanych klasyków, jednocześnie nierzadko modyfikując ich fabułę, zmieniając perspektywę lub koncentrując się na losach postaci, które w oryginale nie odgrywały kluczowych ról. Wśród remake'ów cieszących się największą popularnością można z pewnością wymienić wyreżyserowaną przez Roberta Stromberga „Czarownicę" z 2014 roku, w której Angelina Jolie wciela się w czarny charakter ze Śpiącej królewny – w nowej adaptacji ukazany z innej, zgoła bardziej ludzkiej perspektywy. Głośnym echem odbiły się również „Alicja w Krainie Czarów" z 2010 roku – pierwszy efekt współpracy Tima Burtona z Disneyem, nagrodzony dwoma

Oskarami dzięki imponującej warstwie wizualnej – a także sequel z 2016 roku, „Alicja po drugiej stronie lustra", czy też jeden z najnowszych filmów w repertuarze The Walt Disney Company – „Piękna i Bestia" z 2017 roku, w reżyserii Billa Condona. Podczas gdy wymienione wyżej produkcje otrzymały spore ilości zarówno pochlebnych, jak i krytycznych recenzji, na wyróżnienie zasługuje wyreżyserowana przez Jona Favreau „Księga dżungli" z 2016 roku, która spotkała się z pozytywnym odbiorem oraz została doceniona jako film szczególnie kunsztownie wykorzystujący technikę animacji CGI (computer-generated imaginery).

Zapoznanie się z najnowszymi eksperymentami filmowymi Wielkiej Myszy może skłonić odbiorcę do refleksji nad tym, dlaczego właściwie zagadnienie remake'ów live-action – ewidentnie obecnych w disneyowskim kanonie już od pewnego czasu – nabiera znaczenia dopiero teraz. Odpowiedzi dostarcza kalendarium Disneya na najbliższe dwa lata – aktualnie trwają prace nad pięcioma adaptacjami aktorskimi przeznaczonymi do wypuszczenia w latach 2019 – 2020, a kilkanaście kolejnych filmów czeka na ogłoszenie przybliżonych dat premier. Wraz z początkiem 2019 roku remaki live-action przestały zatem stanowić jednorazowe projekty i urosły do rangi niezwykle rozbudowanej i czasochłonnej inicjatywy. Zjawisko to może wkrótce zdominować politykę wytwórni i znacząco wpłynąć na losy realizowanych równolegle produkcji, powodując przesunięcie ich premier lub nawet zaniechanie prac nad nimi. Koncentrując się bowiem na tworzeniu i dystrybucji aktorskich wersji animowanych klasyków, studio będzie musiało przygotować miejsce dla zupełnie nowego kierunku rozwoju. Nie oznacza to oczywiście, że należy martwić się o przyszłość Wielkiej Myszy; filmowy gigant zajmuje w branży pozycję tak silną, iż bez obaw może pozwolić sobie na modyfikację profilu działalności lub wyruszenie na podbój nowych sfer

EstRepublicain.fr

rynku. Realny podmiot obaw mogą natomiast stanowić jakość nadchodzących produkcji studia oraz nowa filozofia tworzenia kina przyjęta przez Disneya. Zastanowiwszy się bowiem nad przyczynami niedawnych decyzji władz wytwórni, nietrudno zauważyć, iż priorytetem w aktualnej polityce Wielkiej Myszy stał się zysk. Konkluzja ta nie może jednak stanowić zaskoczenia – Disney już od dawna funkcjonuje na rynku, który rządzi się prawami komercji, a więc założenie, że światowej sławy studio filmowe nie kieruje się pobudkami czysto ekonomicznymi, byłoby z pewnością naiwne. Niemniej jednak pozostaje faktem, że w poczynaniach wytwórni można zaobserwować przykrą tendencję: Imperium Wielkiej Myszy balansuje na granicy komercyjnych priorytetów implikowanych przez otoczenie oraz klasycznych wartości kina animowanego, ostatnimi czasy niebezpiecznie przechylając się w kierunku tych pierwszych.

Projekt aktorskich adaptacji filmów animowanych

rfpenesphoad.ga

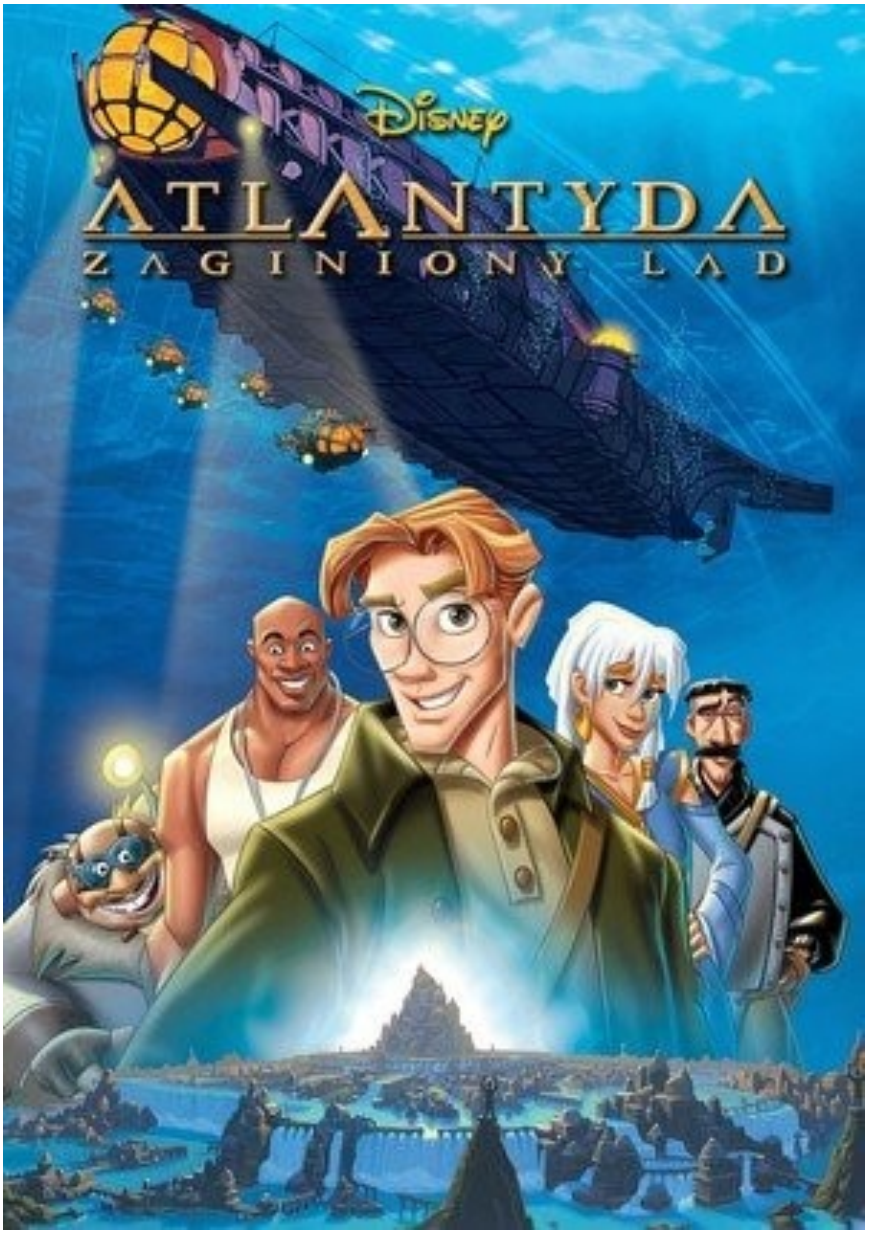

stanowi zresztą jedynie wierzchołek góry lodowej disneyowskich podbojów ekonomicznych. Wytwórnia od lat walczy o monopol w przemyśle filmowym, a w szczególności – w gałęzi rozrywki familijnej. Widocznym przejawem tych dążeń było między innymi przejęcie przez The Walt Disney Company spółek takich jak Lucasfilm (w 2012 roku) czy Marvel Studios (w 2009 roku) – dystrybutorów wielu z najbardziej dochodowych serii filmowych dzisiejszych czasów. I w końcu należy też wspomnieć o platformie Disney+, która najprawdopodobniej wkrótce stanie się symbolem dominacji Wielkiej Myszy na rynku mediów. Wycofując większość swoich produkcji z zasobów serwisu Netflix, Disney ogłosił plany stworzenia konkurencyjnej platformy streamingowej, która ma rozpocząć działalność w listopadzie bieżącego roku i oferować wyłączny dostęp do wszystkich filmów, seriali i programów realizowanych na prawach Walt Disney Pictures, Pixar, Walt Disney Animation Studios, Lucasfilm, Marvel Studios, a także 20th Century Fox i National Geographic.

W świetle tych faktów szlachetny charakter traci płaszczyk „ponownego tchnięcia życia w klasyczne animacje", pod którym Wielka Mysz początkowo ogłosiła rozbudowany plan remake'ów live-action. Pierwszorzędnym adresatem powrotu do disneyowskiego renesansu lat 1989 – 1999 jest pokolenie dwudziesto- i trzydziestolatków, którzy wychowywali się na historiach dziś powracających na ekrany kin i którzy z pewnością chętnie obejrzą adaptacje live-action – chociażby ze względu na sentyment. Wielka Mysz zatroszczyła się więc o box office nadchodzących filmów, rozpoczynając masową produkcję remake'ów wręcz skazanych na sukces finansowy – i tym samym skutecznie wpisując cały projekt w plan podbojów na rynku mediów. Jednak czas pokaże, jakie będą konsekwencje tego posunięcia. Podejmując się bowiem ponownej realizacji kreskówek, które przez miliony odbiorców uważane są za kultowe produkcje i symbol dzieciństwa, Disney stawia sobie poprzeczkę naprawdę wysoko. Szans na powodzenie projektu nie zwiększa bynajmniej dobór animacji, które w pierwszej kolejności powrócą na ekrany kin jako filmy live-action. The Walt Disney Company sięga bowiem do bogatego dorobku swojej niemal stuletniej historii i wybiera kreskówki najbardziej popularne, nie przewidując na razie miejsca dla mniej znanych historii,

których scenariusze miałyby nieporównywalnie większy potencjał jako podstawy remake'ów. Za przykład może posłużyć chociażby „Atlantyda: Zaginiony ląd" z 2001 roku – jedna z niewielu disneyowskich animacji, w których nie występują partie wokalno-musicalowe i która – skromnym zdaniem autorki felietonu – mogłaby stać się naprawdę spektakularnym filmem live-action, gdyby tylko Wielka Mysz dała jej szansę. Jednakże na razie Disney stawia raczej na remaki klasyków takich jak „Król lew", „Aladyn", „Mulan" czy „Mała syrenka". Decyzja ta nie jest pozbawiona zasadności, lecz pociąga za sobą także spore ryzyko, jako że źródłem sukcesu wyżej wymienionych kreskówek stał się ich ujmujący, baśniowy charakter – efemeryczny element niezwykle trudny do uchwycenia w aktorskiej adaptacji. Animacja to medium cechujące się bardzo specyficzną dynamiką między światem rzeczywistym a przestrzenią wyobraźni; to, co w filmie rysunkowym pozwala stworzyć magiczny, poruszający klimat, w wersji live-action może wypaść mało wiarygodnie. Animacja umożliwia również przekonujące wpisanie bohaterów o surrealistycznym wyglądzie w świat przedstawiony, podczas gdy w disneyowskich remake'ach nawet najbardziej zaawansowana technologia CGI może okazać się zawodna przy kreacji postaci. Niestety przedsmak tej potencjalnej porażki wizualnej zawierał już zwiastun tegorocznego „Aladyna", w którym niebieska aparycja Willa Smitha wcielającego się w postać Dżinna wypadła – eufemizmem rzecz ujmując – wątpliwie.

Oczywiście nie należy jeszcze spisywać na straty wszystkich disneyowskich remake'ów. Do pracy przy ich produkcji zatrudniono wielu cieszących się powszechnym uznaniem twórców, których doświadczenie i wyczucie mogą okazać się zbawienne dla najnowszej inicjatywy The Walt Disney Company. Niemniej jednak istnieje prawdopodobieństwo, że nawet najlepiej zrealizowane filmy live-action nie uczynią z samego projektu zjawiska korzystnie kształtującego przyszłość Disneya. Wielka Mysz z pewnością znalazła sposób, żeby wprowadzić swoje Imperium w nową erę rozkwitu, lecz niestety zrobiła to kosztem dawnych epok świetności, zatracając po drodze wartości, na których kiedyś zbudowane zostało niezwykłe uniwersum największej wytwórni filmów animowanych na świecie.

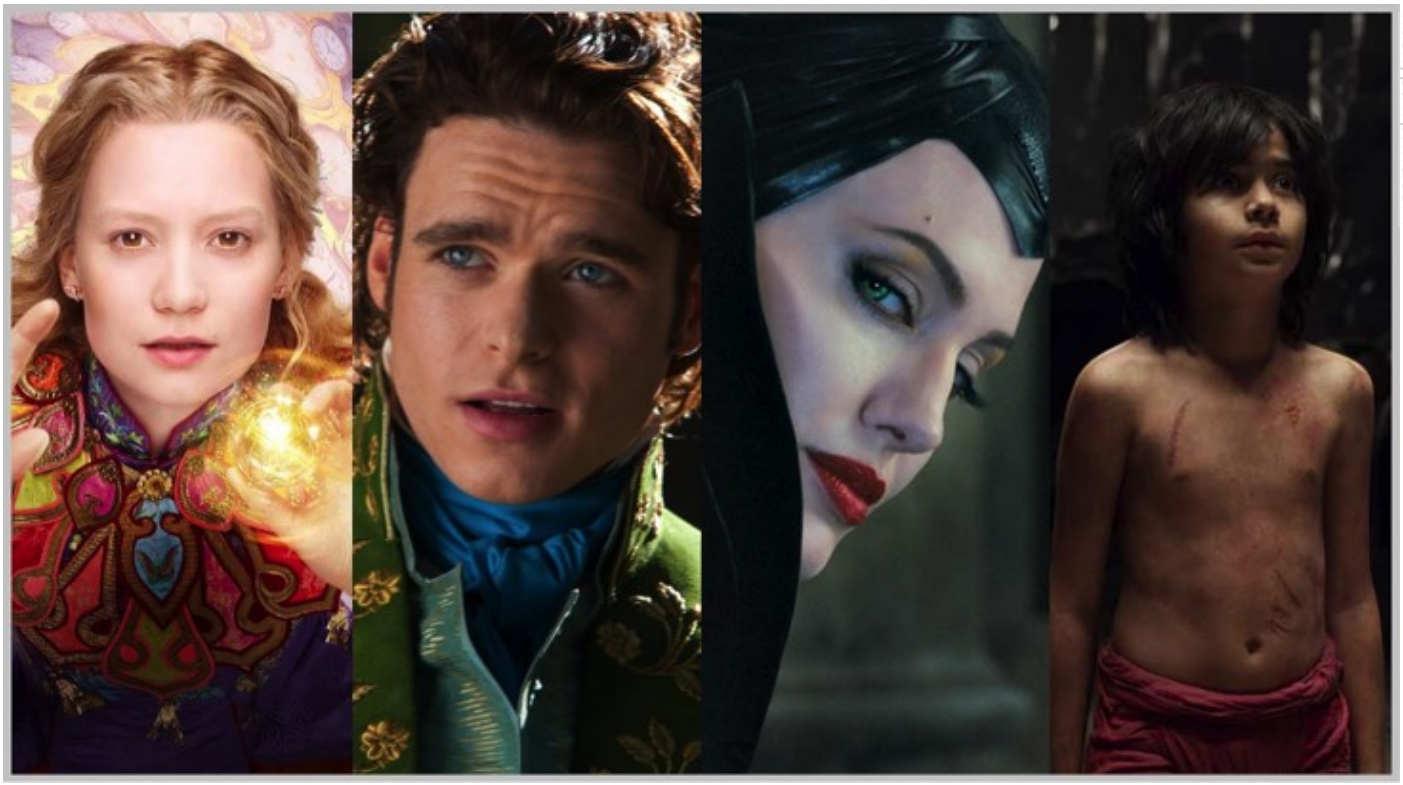

Co nam w duszy gra...

Dotknięcie policzka — Martyna Sobczak

W pudełko szklanych łez
Włożę dłonie stęsknione
Znów skaleczą mnie ich odłamki
Rozetną blade płótno skóry

Wpuszczę w serce wstyd
A z rany wypłynie uczucie szczere
W ciało wejdzie gangrena miłości

Jeszcze raz spojrzę
W porysowane od szkła
Lustro Twego smutku

Nie wyszłam z tego cało
A to tylko niewinne
Dotknięcie policzka

Ale wrócę
I wszystko
Zacznie się na nowo

pl.dreamstime.com

***** — Franciszek Fafiński**

dłonie prześwitują mi już od dawna
próbuję zasłonić nimi oczy
a to światło jarzeniowej lampy
wpada pod opuchniętą powiekę
i wierci się tak nieznośnie

dłonie zniknęły mi już sam nie wiem kiedy
próbuję zatkać nimi uszy
tylko to twoje apatyczne milczenie
wibruje w głowie tak nieznośnie
jakby w krzyk chciało się zamienić

języka nie czułem już kilka dobrych lat
ani słów wykrętnych słodkiego smaku
i choć słowo jest jedynym pokarmem
żadne nie przejdzie mi już przez usta

nawet węch mi nie pozostał
wdycham nosem rzeczywistość
surową jak nigdy przedtem
a jednak mętną jak zawsze

któż mi przywdzieje gołębie skrzydła
bym mógł wzlecieć i odetchnąć
jeśli przywarłem do zmarzniętej ziemi
i kurczowo trzymam się każdej gałązki
sterczącej spod stwardniałych grud
kto pozbiera i poskłada wszystkie fragmenty
moich rozproszonych członków
skoro sam jak szaleniec rzucam nimi
dookoła tańcząc jak szaleniec skacząc
jak szaleniec który śmieje się idąc na stracenie
który zrozumiał nareszcie to
że tylko szaleńcy i umarli mają prawo do śmiechu

GiLA-my, nr 3 (30), czerwiec 2019

Opiekun gazety: Ilona Glatzel

Redaktor naczelna: Zuzanna Kuffel

Zespół redakcyjny: Lena Bojakowska, Magdalena Bródka, Zuzanna Kuffel, Marta Rogulska, Zuzanna Sędziak, Martyna Sobczak, Ola Szynkora

Opracowanie graficzne, skład i łamanie: Zuzanna Kuffel

Korekta: Zuzanna Sędziak

Okładka: Marta Rogulska

Kontakt: redakcja.gila@gmail.com